

ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XII.

Warszawa, dnia 26 czerwca 1920 roku.

Nr 26.

Kazimierz Zdziechowski.

POWIEŚĆ.

PRZEGRANA.

26

XVI.

W lipcu, w pierwszym roku wojny światowej pani Rogońska z mężem znajdowała się na dworcu jednego z miast kresowych. Czesław Rogoński, który odznaczał się tak żarłocznym apetytem, że nawet nie tracił go na stacjach kolei, odpoczywał po obfitym obiedzie. Dwuletnia, wytrwała kuracja zagraniczna nie wyleczyła zupełnie mecenasa, ale okazała się skuteczną. Chory odzyskał mowę i częściowo władzę w nogach (do chodzenia potrzebował pomocy dwóch osób) i bardzo niedostatecznie w rękach. Żona musiała ustawicznie czuwać nad nim i prawie go nie opuszczała.

Ktokolwiek by zwrócił uwagę na tych dwoje ludzi, na urodziwą, wytwornie strojną, młodą żonę, opiekującą się zestarzałym mężem tabetykiem, — dopatrzyłby się niezawodnie tragedji w losie równie pięknej jak nieszczęśliwej kobiety, pełnej poświęcenia, przykutej łańcuchem obowiązku i t. d.

Tymczasem pani Ewa nie nadawała się do melodramatycznej roli. Ewa postanowiła zdaleka omijać myślą głaz, pod którym spoczęło szczęście jej życia i dlatego nie odczuwała tragedji przykuwającego ją łańcucha ani poezji smutku. Ale nie odczuwała także zadowolenia z cnót własnych, natomiast często wyrzucała sobie, że mąż niecierpliwi ją i ciąży jej, że ona niedostatecznie urozmaica mu nudę długich dni kalectwa, że za mało okazuje dobroci i serca.

Wspomnienie nieżyjącego Chabrowskiego bywało niekiedy dokuczliwym, a widmo samobójcy czyhało na nią w każdym ciemnym pokoju, do którego wchodziła...

Piękne i obojętne oczy Ewy, z których spojrzenia każdy odgadłby

łatwo, że one dotarły do głębin życia i cierpienia, biegły ku oknu, szukając tam spóźnionego o wiele godzin pociągu, błędziły wzrokiem wśród publiczności. Na sali panowały ścisk i wrzawa. W tłumie przeważali wojskowi wracający z okopów lub udający się na front oraz rosyjskie rodziny, zmuszone z powodu powodzeń oręża niemieckiego opuścić Warszawę. Do kategorii „uciekierów“ należała także pani Ewa, która oddana całemu sercem pracy dobroczynnej, bardzo niechętnie uległa wyrokowi familji Rogońskich i porzuciła ulubione zajęcie. Wędrując wzrokiem po sali, pani Ewa myślała o Warszawie już zdobytej i podług obiegających pogłosek, doszczętnie zbombardowanej, myślała o przyszłości bezdomnej i tułaczkiej. Zaduma kroczyła szlakiem codziennej troski, czy zaś oddawna spoczywała w jednym punkcie i pilnie badały. I naraz tknęło panią Rogońską, że ów zwrócony ku niej bokiem oficer w szyneli z zieloną letnią czapką o długim daszku, to napewno Stanisław Małkowski. On także poznał ją i natychmiast ukłonił się oraz jął przeciskać się przez stłoczoną ciżbę.

Ewa zapłonila się lekko, spojrzenie spłoszyło się jak dawniej, śliczna głowa wyprostowała się jak dawniej nieco wyniosłe, ale rychło powrócił spokój. Rozpoczęła się rozmowa. Małkowski opowiedział, iż mobilizacja zaskoczyła go w głębi Rosji i tak znienacka, że nie mógł przedostać się do Krakowa, a dziś nie mógł opuścić szeregu w obec drażliwości sumienia, obciążonego przysięgą, opowiadał, że był niebezpiecznie raniony kulą w serce i niemal cudem, dzięki niezwyklej biegłości chirurga ocalał.

Pani Ewa zupełnie nie rozumia-

ła treści jego słów. Odrazu w pierwszym mgnieniu odżyły wszystkie dawne doznawania i uczucia. — Rzeką gorejącą wezbrała w sercu, łuna szczęśliwej światłości rozjaśniła świat, radość, niby ptak drapieżny, uniosła duszę w jaskrawy blask. — Ochłoniwszy z wruszenia Ewa w kilku urywanych zdaniach skreśliła dzieje swego nie obfitującego w nadzwyczajne przygody żywota, które niezbyt zajęły oficera. Gdy tylko skończyła, młody wojskowy począł szeptem gorącym mówić o sprawach Polski, zdaniem jego, już przez orężne czyny legionów wskrzeszonej. Małkowski zmękniał, może i zestarzał się, ale ten sam gorzał w nim zapał, tak samo płonęły promieniste oczy natchnionego dziecka i tylko czoło marzycielskie stebrały mu zmarszczki zniekania.

Ewa pełna szczęścia słuchała tej mowy zadziwiającej, która brzmiała, niby hejnał z wysokiej wieży nad wrzawą miejską powszedniego dnia.

Śród familji Rogońskich toczyły się od dnia wybuchu wojny krzykliwe spory, ale wiary w niepodległą ojczyznę nie było. Familja Rogońskich mimo swarliwych dyskusji zgodnie pragnęła (głośno), żeby zwycięskie wojska potężnego cara jak najrychlej położyły kres rozlewowi krwi w tej wojnie bratobójczej, oraz dokonały dzieła zjednoczenia dzielnic, a po cichu nieoficjalnie, ażeby kongres tak lub inaczej w zjednoczonej i autonomicznej czy też w ani zjednoczonej, ani autonomicznej przywrócił przedwojenne warunki wygodnego, bezpiecznego, intratnego istnienia. Gdy jakiś narwany zapaleniec gadał o niepodległej Polsce, Rogońscy wrzuszali ramionami, Ewa pochylała głowę w smutku nieufności. Dziś myślała, że za wszystkie poświęcenia, za całą posępnosć i tęsknotę minionych lat ta jedna godzina, gdy znowu rozlega się głos jego i patrzą promieniste oczy, gdy z ust tego, którego uznała jako nieomylnego mistrza swego, usły-

szała cudowną wieść o Polsce, że ta jedna godzina jest dostateczną nagrodą.

Tabetyk nudził się, poziewał, przeszkadzał zrządzeniem, prosił o powtórzenie tych jakichś sekretów, które szeptali sobie do ucha, niecierpliwił się i wymachiwał niekiedy w rozdrażnieniu fioletowemi rękoma, tabetyk, im bliższą była chwila nadejścia pociągu, tym bardziej stawał się czerwonym i niepokoił się o to, jak też uda mu się wejść do wagonu.

Gorąca, poufna rozmowa między młodymi trwała. Nie wiele już zostawało im czasu.

— Dużo słyszałem o pani, — rzekł w pewnej chwili oficer. — Bardzo panią cenią w Warszawie... wróciła pani z zagranicy przed samą wojną, a tyle zdziałała w „Opiece dziecka”. Żle tylko, że pani stchórzyła i zemknęła.

— Musiałam. — Ewa wskazała na męża.

Oficer spojrzał z roztargnieniem w stronę chorego.

— Bardzo panią cenią w Warszawie, — powtórzył z naciskiem poważnie.

Pani Rogońska zapłoniła się tak, jak nie rumieniła się nigdy pod najbardziej bezwstydnymi spojrzeniami albo od najbardziej dwuznacznych komplementów.

— Mówiłam już raz, — odezwała się cicho ze wzruszeniem — i powiem znowu, że czymkolwiek jestem dziś, cokolwiek zdziałalam użytecznego, wszystko zawdzięczam panu.

— Pani przesadza! Cóż tam mój wpływ!?

— Odczytuję wciąż prace pana i coraz lepiej oceniam, — wiem, że one nie zdobyły rozgłosu, że wyśmiewają pana niektórzy krytycy, ale niech pan tworzy! Każda książka pana jest czynem! Wszyscy inni pisarze obok pana wyglądają na sztukmistrzów, kuglarzy, żonglerów, bo prawda woła z każdej stronicy pana, bo wiarę swoją wciela pan w życie, — szeptała z uniesieniem.

— Wmówi pani jeszcze we mnie, że jestem genjuszem!

Ewa spoglądała mu w oczy jak dawniej, ale jego spojrzenie nie miało już dla niej tych samych, co niegdyś, wyznań. Może myliła się? Smutek, podobny chłodnym cieniom jesiennej wieczoru spowił jej serce. Ewa przekonała się, że mimo wszystko, niby ziarno, kiełkujące na dnie lochu piwnicznego, żyła w niej nadzieja i że to ziarno teraz właśnie obumarło! Jak gdyby w zwierciadle, z nienacka przez niewidzialną rękę złośliwie podsuniętem, ujrzała uwiad

urody własnej, bliską starość, samotność i szarżyznę swego istnienia w przeciwieństwie do młodej doli jego, która szła w blask chwały, ku szczęściu, ku miłości... Głaz żalu przytłoczył duszę. Pamiątkowego rubinu nie było już na jego palcu. Ewa spoglądała w oczy Małkowskiego z kobiecą zazdrością, z obawą, z niedobrem przeczuciem, patrzała, pragnąc przeniknąć do istotnej prawdy, pragnąc stwierdzić, że myliła się. Ale zamiast zamyślonych nad oddalonymi sprawami żreń, prawdę powiedziały jej głębokie bruzdy, które znękaniem sterały takie jasne niegdyś i czyste czoło młodzieńca... Tak nie wyglądają ludzie, zajęci sławą, powodzeniem u kobiet, szczęściem osobistym.

I naraz troskę Ewy zasłonił cień grozy.

— Mam nadzieję, że pan tylko od parady pobrzękuje szabelką i dzwoni ostrogami? — spytała tonem lekkim, z najstraszliwszą trwogą w sercu. — Mam nadzieję, że pan znalazł bezpieczne schowanie w którejś z 1001-ej organizacji.

— Nie pani... dziś za chwilę udaję się na front, — odparł.

— Dlaczego pan jedzie na front? — napadła obcesowo.

— Bo muszę, — zbył ją lakonicznie.

— Szuka pan śmierci?

— Cemu mam koniecznie pociągnąć?

— Na wojnie nie trudno chyba o śmierć, — obruszyła się.

— Może ominą mnie kule — odpowiedział niedbale.

Ewę lekkomyślnie i jakby przekorne bagatelizowanie niebezpieczeństwa wytrąciło z równowagi. To gniewała się na niego, jak matka na nierozsądnego i nieposłusznego syna — wyrostka, który przykłada sobie do skroni nabity rewolwer, — to gniew przechodził w rozpacz.

— I pan w tym nienawistnym mundurze! Pan przyczynia się do zwycięstwa cara! pan morduje bliźnich, mogąc na innym polu pracować dla ojczyzny, — szeptała w rozdrażnieniu, z namiętnością.

— W tym nienawistnym mundurze przyczyniam się do zwycięstw cara! — powtórzył, uśmiechając się.

Niespodziana radość spotkania, wieści o Polsce usłyszane z ust tego, którego uważała za nieomylnego mistrza, tak w pierwszym mgnieniu oszołomiły ją szczęściem, że dopiero teraz uświadomiła sobie niebezpieczeństwo, zagrażające najdroższemu jej na ziemi człowiekowi a także ową najokrutniejszą trwogę, która odtąd znęcać się bę-

dzie nad sercem jej w nocy i we dnie przez tyle miesięcy, przez tyle może lat. Dotychczas ludziła się, błędnie przez kogoś poinformowana, że Małkowski wolny jest od wojska. Tymczasem on nie tylko był w mundurze, ale właśnie za chwilę miał jechać na front i udawał junaka, który igra z niebezpieczeństwem, jak gdyby nie rozumiał grozy i nedorzecznosci tej największej z ofiar. Postanowiła przekonać go, opamiętać, za wszelką cenę zatrzymać.

— Panu nie wolno! Zbyt życie pana jest wartościowe! pióro pana, talent, czyny są własnością ojczyzny, — zaklinała namiętnie.

— Polska potrzebuje dziś nie atramentu i książek, lecz czynu i krwi, a chwała Bogu bohaterów nie brak! Cóż znaczą moja osoba i moja śmierć?! Niech pani pomyśli! milion Polaków pod bronią w dwu wrogich armjach...

— Zapewne, lecz służyć złej sprawie, narażać się bezmyślnie, pchać się do bitwy bratobójczej — napadała coraz zaciekłej. Nie wiedziała już, co uczynić: zebrać na klęczkach, czy rzucić się na niego i zedrzyć z niego uniform.

— Chce pani, bym drapnął z szeregu i ukrywał się? — spytał szorstko.

— Tak. Zresztą tyle jest innych sposobów; od czegoż są owe 1001 organizacji?! Rubel wszystkiego dziś dokaże! Mam tych rubli stos cały.

— Chce pani, bym uciekł się do kłamstw, łapówek, wykrętów?

— Tak...

Patrzeli sobie w oczy. Ona spojrzeniem pragnęła groźnie rozkazywać mu, a wyrażała mu tylko bezgraniczną miłość swoją i zebrała o litość. Wzburzona, przedziwnie jeszcze piękna jej twarz była pełna bezradnego przestachu, jak wówczas w dawnym owym dniu, gdy ją odprowadzał na kolej.

— Nie może to być! — odpowiedział cicho i stanowczo temi samymi słowy; jak niegdyś ona jemu.

— Dla jakichś subtelności przeżulonego sumienia, dla jakichś scholastyczno-sofistycznych dziwołagów poświęci pan talent swój, życie, sprawę! — wybuchła.

— Polsce mają prawo służyć jedynie ludzie nieskazitelni, gdy popełnią oszustwo, przestaną być Polsce potrzebnymi.

Dokończenie nastąpi.



Tajemnica Rodu Koenigsmarków.

5)

Przekład z francuskiego przez H. J. P.

Gdy już jedna z jego rąk ukończona kąpała się miękko w ciepłej, różanej wodzie, pan de Marçais przystąpił do rzeczy.

— Nie byłbym pozwolił sobie trudzić pana, aby go poddać jakiemuś próbnemu wywiadowi, do czego zresztą całkowicie jestem nie zdolny. Wierzę, że pan posiadasz wszelkie potrzebne rękojmie naukowe. Co się tyczy rękojmi umysłowych i moralnych tych—zanim mógłbym sam się o nich przekonać—dostarczył mi nasz wspólny przyjaciel Ribeyre.

Skloniłem się. On sklonił się także. Zdawał się być zachwyconym własną wymową.

— Pragnąłbyś pan zapewne dowiedzieć się, na czym polegać będzie zadanie pańskie w Lautenbourgu. O! nic wielkiego. Księżę Joachim ma specjalnego nauczyciela dla części naukowej jego wychowania! Komendant de Kessel zajmuje się jego wykształceniem wojskowym. Panu pozostanie nauka języka francuskiego i historii, oczywiście historii powszechnej. A! jest jeszcze coś, co Wielki Księżę ustnie mi polecił...

— Tum cię czekał—powiedziałem sobie, myśląc o podejrzeniach pana Thierry.

— Czytasz pan dobrze wiersze?

To proste, niewinne pytanie zaskoczyło mnie poprostu.

— Doprawdy, nie wiem, bardzo by mi było...

— To rzecz bardzo ważna, Wielki Księżę zalecił mi, żebym tego dopilnował. A oto powód: Wielka Księżna Aurora przepada za poezją francuską—być może zatem, że od czasu do czasu będą jej pana wypożyczać! To niespodzianka, którą Jego Wysokość chce sprawić żonie narzekającej wciąż na braki, jakie pod tym względem przedstawia Lautenbourg. „Drogi hrabio” powiedział mi, „wiem, że pan znasz się na literaturze i masz smak wyrobiony; polegamy w tem na panu”. Wybacz mi więc pan, że na tym punkcie jestem zmuszony poddać pana egzaminowi?

— Patrz pan—dodał wskazując mi mokrą ręką oszkloną szafkę.— Jest tam zbiór znakomitych poetów. Wybierz pan cośkolwiek i przeczytaj.

Co prawda zbiór ów zawierał poetów mocno przedawnionych. Zmu-

szony byłem poprzestać na Kazimierzu Delavigne. Odczytałem jako tako cudny poemat: *Limby*.

Lecą, lecz się nie słyszy
Szelestu ich skrzydeł...

— Doskonale, doskonale—zawyrokował pan de Marçais. — Nieprawdaż pani Maserat?

Manikurzystka zagulgotała z przejęciem, aby wyrazić zachwyt, w jakim ją pogrążyło to czytanie. Widziałem w życiu dosyć śmiesznych scen, ale śmieszniejszej nigdy.

— Wszystko więc jak najlepiej—rzekł hrabia, wstając. — Zbytecznym byłoby nadmieniać, że będą tam pana traktować z wszelkimi należnymi względami. Wielki Księżę jest najwytworniejszym z ludzi. Wielka Księżna,—tu podniósł oczy w górę.—Rosjanka, to dosyć, jeżeli chodzi o piękność. Księżę Joachim jest bardzo uległy... Może trochę powolny umysłowo, ale nie można żądać od Niemców francuskiej żywości. A przytem dwór pełen jest miłych mężczyzn i zachwytających kobiet. Jezdź pan konno?

— Nie, panie hrabio.

— Nic nie szkodzi. Kessel pana nauczy. To nieźrównany jeździec. A na śniadanie będziesz pan przychodził do legacji? Dobrze? Zobaczymy się za dziesięć dni, bo pan pojedzie przedemną. Oczekuję tam pana jaknajprędzej. Wyjechawszy pojutrze wieczorem o dziesiątej, będziesz pan w Lautenbourgu w niedzielę o 9-tej zrana.

— Postaram się.

— Doskonale. Przypomnij mi pan z uszanowaniem pamięci Wielkiego Księcia i zechciej złożyć mój hołd u stóp Jej Wysokości Wielkiej Księżny. Ach! jakież ja roztrzepany!

Wstał i wyjął z pugilaesu zapieczętowaną kopertę.

— Wielki intendent pan de Soldau, powierzył mi to dla oddania panu—rzekł dyskretnie.—Koszta podróży. Szczęśliwej drogi zatem i do widzenia. Przepraszam panią, pani Maserat. Jestem już do pani rozporządzenia.

* * *

Nigdy w Paryżu nie pozwoliłem sobie na dorożkę, chyba że, jadąc na wakacje lub wracając, byłem do tego zmuszony ze względu na rzeczy. Ale teraz, wyszedłszy od pana de

Marçais, wziąłem fiakra, by wrócić do siebie, tak mi było spieszo zobaczyć, co zawierała owa koperta, której nie śmiałem otworzyć na ulicy.

Istotnie, zaczynałem już odczuwać korzyści obcowania z wielkimi tego świata.

„Pan nauczyciel proszony jest” głosił papier z nagłówkiem kancelarii książęcej „o przyjęcie w załączeniu swych honorarjów za pierwszy kwartał, a poza tem tysiąca marek jako zwrot kosztów podróży”.

Oprócz tego uprzejmego wezwania koperta zawierała trzy tysiące pięćset marek.

Więcej niż cztery tysiące franków! Posiadałem więcej niż cztery tysiące franków, ja, który wczoraj przybyłem do Paryża, nie wiedząc, z czego będę żył za tydzień.

Ciężyły mi odwiedziny u pana Thierry. Postanowiłem załatwić się z tem niezwłocznie i powiedzieć mu, że wyjeżdżam nazajutrz.

Zastałem go w gabinecie przy pracy.

— Odgaduję z twej rozradowanej twarzy, że wszystko poszło po dług twoich życzeń—rzekł mi zadowolony profesor. — Tem lepiej. Może napróżno cię wystraszyłem. Kiedy jedziesz?

— Jutro—odpowiedziałem.

— A więc moje drogie dziecko, to twoja pożegnalna wizyta. Cóż ci powiem? Jestem pewny, że wywiążesz się znakomicie z twych, pedagogicznych obowiązków. Pamiętaj o tej wielkiej zasadzie, jaką stawia ojciec Pascala: Staraj się zawsze utrzymać ucznia powyżej jego zadania. Profesor liceum nie może się stosować do tej reguły, gdyż musi liczyć się z przeciętnym uzdolnieniem klasy. Wszelako gdy się jest tak szczęśliwym, że się ma jednego tylko ucznia, to jest nie tylko możliwe, ale wskazane.

Następnie pan Thierry udzielił mi rad odnośnie do wyboru książek, jakimi miałem się posługiwać w moich wykładach. Wręczył mi także swoją historję literatury niemieckiej, która była mi potem bardzo często znakomitą pomocą.

— Nie dziękuj mi—rzekł, przerwając moje wynurzenia wdzięczności.—Może to ja będę ci obowiązany. Powiedziałem ci już, że będziesz miał w Lautenbourgu wspaniałą bibliotekę. Jej konserwator, profesor Cyrus Beek—którego miałem sposobność poznać na różnych kongresach—strzeże jej zazdrośnie. Ale to uczony. Nie wątpię, że będziesz miał swobodny dostęp do dzieł i rękopisów, nie związanych bezpośrednio z wielką jego pracą,

nad historją teorii przetworzeń metali. Otóż, wiesz może, że ja obecnie piszę książkę o obyczajach na dworze Hanoweru w końcu XVII-go wieku. W naszej bibliotece uniwersyteckiej znajduje się katalog biblioteki książkowej w Lautenbourgu, z którego wiem, że zawiera ona dokumenty pierwszorzędnej wagi. Zaraz po rozstaniu się z tobą pobiegłem wynotować sobie główne dzieła, które gdybyś był łaskaw przejrzeć dla mnie, byłbym ci bardzo wdzięczny. Jestem zresztą pewny, że cię ta praca zajmie. Oto spis. Polecam ci zwłaszcza dzieła: *Stattmutter der Königlichen Haeuser Hannover und Preussen* przez Wielką Księżnę Ahilde, wydane w Lipsku 1832. Mammy w Paryżu tylko bardzo niedokładny przedruk tej książki. Polecam ci również dzieło Cramera i Palmblada, jak również *Oktawję rzymską (die romische Octavia)* Księcia Ulryka de Wolfenbüttel.

— Na nieszczęście—ciągnął dalej, podczas gdy chowałem starannie kartkę—mogłem wypisać tu tylko druki. Manuskrypty Lautenbourgu nie są zinwentarzowane. Otóż, moje drogie dziecko, możesz tu oddać mi te najcenniejsze usługi. Niewątpliwie przeglądając te rękopisy znajdziesz w nich nieszacowane dokumenty dotyczące się tego niemieckiego społeczeństwa w XVII wieku, co, wytworne z pozorów, było w głębi bardziej okrutne i gwałtowne, niż to sobie kiedykolwiek wyobrażano.

Tu wziął obie moje ręce i uściślał je ze wzruszeniem, świadcząc, że ma mi jeszcze coś do powiedzenia.

— Nie chcę za nic na świecie powracać do naszej rannej rozmowy — wymówił wreszcie — Ale, dziecko drogie, wiesz jak twój los szczerze mnie obchodzi. W tej chwili rozstania jeszcze dokładniej zdaję sobie z tego sprawę. Otóż, zaklinam cię, nie ulegnij nigdy chęci, a może nawet namowom, jakie mogły by cię spotkać, do wyjścia po za twe pedagogiczne obowiązki. W Lautenbourgu, ci, których zadaniem jest pisać tak jak my historję, znajdują aż nadto co do roboty. Piszmy ją, ale strzeżmy się brać w niej udział.

Przyrzekłem mu uroczyscie i w najlepszej wierze, że będę miał zawsze w pamięci jego rady.

— Posłuchaj jeszcze. Nie wiem absolutnie, kto znajduje się na dworze Lautenbourskim, po za Księciem Joachimem, Wielkim Księciem, Wielką Księżną i panem de Margais. Jednakże, był tam niegdyś niejaki baron de Boose. Jeżeli

jest jeszcze, staraj się mieć z nim jak najmniej doczynienia. Strzeż się tego człowieka, strzeż go się.

Prosiłem, aby mi udzielił bliższych objaśnień w tym względzie. Lecz pan Thierry przedziergnął się natychmiast w sumiennego historyka i bojaźliwego funkcjonariusza.

— Nie, nie — odrzekł—to są zbyt osobiste wrażenia. W każdym razie, jeżeli ten człowiek jest jeszcze w Lautenbourgu, nie rozpytuj się o niego. Poczekaj, aż ci inni powiedzą... No, drogi chłopcze. Musimy się pożegnać.

Ucałowaliśmy się serdecznie. Nigdy go już więcej nie widziałem.

* * *

Przygnębienie, jakim mnie nappełniła ta wizyta, znikło bardzo szybko u bankiera, u którego zmieniłem na franki połowę moich biletów *Deutsche Bank*. Resztę dnia spędziłem na wędrowce po sklepach.

Po raz pierwszy w życiu zaznałem tej wielkiej rozkoszy wydawania pieniędzy bez liczenia. Będąc średniego wzrostu z łatwością znalazłem w *Old England*, garnitur, palto i obuwie gotowe. Przebrałem się na miejscu, poleciwszy odesłać moje nędzne manatki na ulicę Cujas.

Wówczas, już pewien siebie, udałem się do pierwszorzędnego krawca. Obstałowałem sobie frak, surdut i drugi garnitur marynarkowy. Zapłaciłem z góry należne 800 franków wzamian za przyrzeczenie, że otrzymam to wszystko na trzeci dzień przed wieczorem.

Była siódma. Najpiękniejsza godzina bulwaru des Capucins w październiku. Wmieszałem się w tłum z radością w sercu, czując się dobrze ubranym, przy pieniądzach i panem wszystkiego, słyszysz, wszystkiego! Fiakry turkotały, taksometry pędziły, porykując. Potoki światła lały się z góry na ruchomą, ludzką falę.

Pojutrze trzeba to wszystko porzucić!... Szkoda. Użyjmy więc tymczasem nowego, przelotnego królowania.

Ogarnęło mnie dziwne uczucie. Miałem pieniądze. Ale nie mogłem żądać od nich, aby mi dały na prędce stosunki. Miałem pieniądze, ale jeżeli nie miałem żadnego znajomego, któremu mógłbym tego dzwiesić, to było tak, jak gdybym ich nie miał.

Przyszła mi świetna myśl do głowy. Wszedłem do Webera. Wszakże bo tam zejdą się wkrótce Ribeyre i jego wczorajsi towarzysze. Wspomnienie Klotyldy prześladowało mnie. Miała wczoraj okrycie

z czarnego aksamitu, z którego wynurzała się jej śliczna jasno-włosa głowa i różowa twarzyczka. Co za radość pokazać się jej w mojej obecnej świetności.

Ribeyre już siedział przy stoliku. — I cóż mój drogi! Wszystko poszło jak najlepiej. Widziałem się przed chwilą z Margais'em. Jest tobą zachwycony. Powiada, że masz głos czarodzieja. Tam do licha! Nie traciłeś czasu! — dodał zauważywszy moje przeobrażenie.

W głosie Ribeyre'a dzwięczało nieco mimo drwiące zdziwienie. Pomyślałem o Bodelavie're, o którym Gaubier powiadał, że pocierał swe nowe ubiory szklannym papierem, aby im odjąć ten połysk nowości tak drogi filistrom i mieszcuchom. Uczułem się znów zachwianym w mojej dotychczasowej pewności siebie.

— Ba! pomyślałem. — To przecież garnitur gotowy. Nie mogłem tu przyjść w rozkładanych butach i marynarce z przed dwóch lat. Zobaczą pojutrze.

I świadomość, że zwróciłem się do jednego z najdroższych krawców, przywróciła mi dobry humor.

Nadeszła Klotylda. Miała na sobie futro z białych lisów, które wydało mi się owego wieczora, szczytem przepychu i dobrego smaku. Gdy kupiłem dla niej wszystkie fijołki z którymi jakaś błada kwiatarka zbliżyła się do naszego stolika, moja piękność raczyła zająć się mną i prędko dała mi do zrozumienia, że jej się podobam.

— Klotyldo — rzekł Ribeyre — jeżeli mnie kochasz zdradzisz dziś Surville'a z moim przyjacielem Vignertem. Ma pieniądze i wyjeżdża pojutrze, dwie rzeczy, które zazwyczaj kobiety cenią.

Przed kwadransiem ten żarcik byłby mi się wydał straszliwie nie stosownym. Ale zdradzieckie, białe porto czyniło już swoje, a przytem Klotylda śmiała się, rozbawiona i nie mówiła „nie“.

Nadszedł też i Surville z drugim młodzieńcem niejakiem Mouton-Mssel. Obaj zajmowali wybitne stanowiska w ministerjum spraw wewnętrznych.

— Nie zostaniemy chyba w tej budzie — rzekł Surville — Dwa razy z rzędu to za wiele. Bardzo mi przyjemnie — zwrócił się do mnie — pan obiaduje z nami?

— Mój przyjaciel Vignerte polecił mi prosić was, abyście przyjęli go za amfitryona. Jedzie pojutrze na Dwór Lantenbourgu, i pragnie abyśmy spróbowali jak smakuje jego koszta podróży.

Dalszy ciąg nastąpi.

